

pan
cogito
czyta

Bernanos

Pamiętnik wiejskiego proboszcza



FRONDA

Pamiętnik wiejskiego proboszcza

pan □
cogito
□ czyta

Georges
Bernanos

Pamiętnik wiejskiego
proboszcza

przełożył
WACŁAW ROGOWICZ

FRONDA

Tytuł oryginału
Journal d'un curé de campagne

Copyright © Le Castrol Astral, 2008
Copyright © by Fronda PL, Sp. z o.o., Warszawa 2011

Projekt okładki
Krzysztof Jaśkiewicz

Zdjęcie na okładce
Shouting Man © Christophe Rolland

Redakcja i korekta tekstu
Robert Jankowski

Opracowanie typograficzne i łamanie tekstu
Wojciech Ryll

ISBN 978-83-62268-02-3

Wydawca:
Frona PL Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
tel. (22) 836 54 44, 877 37 35
fax (22) 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofrona.pl
www.facebook.com/FronaWydawnictwo

Druk i oprawa:
Drukarnia im. A. Półtawskiego
ul. Krakowska 62
25-701 Kielce

CZĘŚĆ I

Parafia moja jest taka jak inne. Wszystkie parafie są do siebie podobne. Dzisiejsze, oczywiście. Mówiłem to wczoraj proboszczowi z Norenfontes: dobro i zło powinny się tu równoważyć, tylko punkt ciężkości leży nisko, bardzo nisko. Albo – jeśli wolicie – jedno i drugie nie mieszając układa się w warstwy jak dwa płyny o różnej gęstości. Proboszcz roześmiał mi się w nos. Dobry to kapłan, bardzo życzliwy i bardzo ojcowski, uchodzi nawet w kurii arcybiskupiej za człowieka o niezależnym, trochę niebezpiecznym umyśle. Jego cięte powiedzenia budzą uciechę na plebaniach; podkreśla je zaś spojrzeniem, któremu chciałby nadać życzliwość, a które ja w gruncie rzeczy uważam za tak zużyte, tak zmęczone, że mam ochotę płakać.

Parafię moją pożera nuda, oto właściwe określenie. Jak tyle innych parafii! Nuda pożera je w naszych oczach, a my nic na to poradzić nie możemy. Pewnego dnia, być może, zaraza dotrze do nas, odkryjemy w sobie tego raka. Można żyć z tym bardzo długo.

Ta myśl przyszła mi wczoraj na drodze. Mżył drobniutki deszczyk, taki, który człowiek wchłania pełnymi płucami, który przenika go aż do wnętrza. Od strony Saint-Vaast nagle wyłoniła się przede mną wieś, tak stłoczona, taka nędzna pod ohydny niebem listopada. Woda parowała z niej wszędzie i wydawało się, że wieś położyła się tu, w mokrym

zielsku, jak biedne wyczerpane zwierzę. Jaka mała jest ta wieś! I wieś ta jest moją parafią. To moja parafia, lecz nic nie mogłem dla niej uczynić, patrzyłem tylko smutno, jak zapadała w mrok, znikwała... Jeszcze kilka chwil, a już jej nie zobaczę. Nigdy nie czułem okrutniej jej samotności i mojej własnej. Myślałem o bydle, którego kaszel słyszałem we mgle, o tym, że mały pastuch z teczką pod pachą po powrocie ze szkoły zaprowadzi je zaraz przez mokre pastwisko do ciepłej, pachnącej obory.

I wydawało się, że wieś także oczekuje – bez wielkiej nadziei – po tylu nocach spędzonych w błocie, na pana, który zaprowadzi ją do jakiegoś nieprawdopodobnego, jakiegoś nie dającego się wyobrazić schronienia.

O! Wiem dobrze, że są to myśli szalone, których nawet nie mogę wziąć zupełnie na serio, marzenia... Wsie nie wstają na głos małego ucznia jak zwierzęta. Ale to nie ma znaczenia.

Mówiłem więc sobie, że świat jest pożerany przez nudę. Ma się rozumieć, trzeba trochę pomyśleć, by móc sobie z tego zdać sprawę, nie pojmuje się tego tak zaraz. To jest jak gdyby rodzaj kurzu. Chodźcie tam i z powrotem nie widząc go, oddychacie nim, zjadacie go, pijecie, a on jest tak delikatny, tak drobniutki, że nawet nie zgrzytnie pod zębami. Lecz gdy się tylko zatrzymacie na chwilę, pokrywa waszą twarz, wasze ręce. Musicie ruszać się ustawicznie, by strząsać z siebie ten deszcz popiołu. Toteż świat rusza się wiele.

Można by powiedzieć, że świat od dawna przyzwyczał się do nudy, że nuda jest prawdziwą dolą człowieka. Możliwe, że jej nasilenie zostało rozrzucone wszędzie, i że tu i ówdzie na gruncie podatnym

zakiełkowało. Lecz zapytuję, czy ludzie znali kiedykolwiek zarazek nudy, tego trądu? Przedwczesne zwątpienie, haniebna postać zwątpienia, która niewątpliwie jest jakby fermentacją rozkładającego się chrześcijaństwa.

Oczywiście, są to myśli, które chowam dla siebie. Jednakże nie wstydzę się ich. Sądzę nawet, że byłbym bardzo dobrze rozumiany, zbyt dobrze może dla mojego spokoju – chcę powiedzieć dla spokoju mojego sumienia. Optymizm przełożonych zanikł już dawno. Ci, którzy go jeszcze głoszą, pouczają o nim z przyzwyczajenia, bez wiary. Na najmniejszy zarzut nie szczędzą wam porozumiewawczych uśmiechów, proszą o przebaczenie. Starzy kapłani nie myślą się w tym. Wbrew pozorom i chociaż pozostaje się wiernym pewnej terminologii, niezmiennej zresztą, tematy oficjalnego krasomówstwa nie są te same, starsze pokolenie już ich nie poznaje. Niegdyś na przykład odwieczna tradycja chciała, żeby przemówienie biskupa kończyło się zawsze ostrożną – płynącą z przekonania zapewne, lecz ostrożną – aluzją do przyszłego prześladowania i do krwi męczenników. Przepowiednie takie są dziś rzadsze. Prawdopodobnie dlatego, że spełnienie ich wydaje się mniej pewne.

Niestety! Jest słowo, które zaczyna krążyć po plebaniach, jedno z tych słów okropnych, tak zwanych „wojennych”, które, nie wiem jak i dlaczego, wydały się starszemu pokoleniu śmieszne, które jednak ludziom w moim wieku wydają się tak brzydkie, tak smutne. (To jest zresztą zadziwiające, że żargon okopów zdołał wyrazić plugawe myśli w ponurych obrazach, lecz czy jest to w istocie żargon okopów?...) Powtarza się więc chętnie, że „nie

trzeba starać się rozumieć”. Boże drogi! Toć my właśnie jesteśmy po to! Rozumiem dobrze, że są przełożeni. Tylko kto informuje tych przełożonych? My. A więc gdy nam wychwalają posłuszeństwo i prostotę mnichów, nic na to nie poradzę, ten argument nie wzrusza mnie zbytnio...

Wszyscy jesteśmy zdolni do obierania kartofli lub hodowania świń, niech tylko mistrz nowicjatu każe nam to robić. Lecz parafia to nie jest coś tak łatwego do nasycenia aktami cnoty jak zwykle zgromadzenie zakonne! Tym bardziej że o n i nigdy ich znać nie będą i zresztą o n i n i c by z tego nie zrozumieli.

Prałat z Bailloeil od czasów przejścia w stan spoczynku odwiedza gorliwie wielebnych ojców kartuzów w Verchocq. „Co widziałem w Verchocq” jest to tytuł jego kazania, na którym ksiądz dziekan nakazał nam być prawie obowiązkowo. Słyszeliśmy tam rzeczy bardzo ciekawe, przejmujące niemal, gdyż czarujący ten starzec zachował niewinne drobne manie dawnego profesora literatury i pielęgnuje swą dykcję jak swe ręce. Można by rzec, że spodziewa się, a jednocześnie obawia się nieprawdopodobnej obecności Anatola France’a wśród swych słuchaczy w sutannie, Anatola France’a, którego prosi o względy dla Boga w imię humanizmu tak subtelnymi spojrzeniami, porozumiewawczymi uśmiechami i wykręcaniem małego palca. Wreszcie, zdaje się, ten rodzaj kokieterii księżej był modny w roku 1900 i my staraliśmy się dobrze przyjąć słowa „porywające”, które nie porywały nikogo. (Mam prawdopodobnie naturę zbyt prostacką, zbyt szorstką, lecz wyznaję, że ksiądz z kulturą literacką zawsze budził we mnie odrazę. Obcowanie

z wytwornym towarzystwem to właśnie bywanie na proszonych obiadach, a nie chodzi się na proszone obiady pod nosem ludzi ginących z głodu.)

Krótko mówiąc, ksiądz prałat opowiedział nam wiele anegdot, które według zwyczaju nazywał „charakterystycznymi rysami”. Wydaje mi się, że je rozumiałem. Niestety jednak, nie czułem się tak wzruszony, jak tego pragnąłem. Zakonnicy są niezrównanymi mistrzami w dziedzinie życia wewnętrznego, nikt o tym nie wątpił, lecz istnieje mnóstwo owych sławnych „rysów”, które, jak wi-na z pewnych okolic, należy pić tylko na miejscu. Nie znoszą podróży.

Może... czyż mam to powiedzieć? – może ta ma-ła liczba ludzi zgromadzonych, żyjących obok siebie dzień i noc, stwarza bezwiednie atmosferę sprzyja-jącą... Ja także znam trochę klasztory. Widziałem mnichów przyjmujących pokornie, z twarzą przy ziemi i bez drgnienia, niesprawiedliwą naganę udzie-loną im przez przełożonego dla złamania ich pychy. Lecz w domach tych, gdzie spokoju nie zakłóca żad-ne echo z zewnątrz, milczenie osiąga perfekcję nad-zwyczajną, najmniejszy szmer wyczuwany jest przez uszy doskonale wrażliwe... I są takie milcze-nia w sali kapituły, które równają się oklaskom.

(Tymczasem nagana biskupa...)

Przeczytałem te pierwsze strony swego dzienni-ka bez przyjemności. Oczywiście, długo zastanawia-łem się, zanim postanowiłem pisać. To mnie wcale nie uspokaja. Dla kogoś nawykłego do modlitwy refleksje są często tylko alibi, ukrytym sposobem umocnienia się w swych zamiarach. Rozumowanie zostawia chętnie w cieniu to, co pragniemy tam ukryć. Człowiek świecki, zastanawiając się, oblicza

swe szanse, zgoda! Lecz jaka jest waga naszych szans, nas, którzy zgodziliśmy się raz na zawsze na przerażającą obecność pierwiastka Boskiego w każdej chwili naszego biednego życia? Chyba jedynie tracąc wiarę – a cóż pozostanie mu wtedy, skoro nie może jej utracić bez zaparcia się samego siebie? – ksiądz może mieć jasne widzenie swych własnych interesów, tak bezpośrednio – chciałoby się powiedzieć, tak szczerze, tak naiwne – jak ludzie świeci. Obliczać nasze szanse, po co? Nie prowadzi się gry przeciw Bogu.

Otrzymałem odpowiedź mojej ciotki Filomeny z dwoma banknotami stufrankowymi, akurat tyle, ile potrzeba na najpilniejsze wydatki. Pieniądze sypią mi się przez palce jak piasek. Okropność, przyznać trzeba, że robię kapitalne głupstwa! Tak na przykład sklepikarz z Heuchin, pan Pamyre, porządny chłop (ma dwóch synów księży), przyjął mnie zaraz z wielką uprzejmością. Jest to zresztą dostawca nadworny moich kolegów. Nigdy nie zapomniał poczęstować mnie w swej izbie za sklepem winem chinowym i kruchymi ciasteczkami. Rozmawialiśmy dobrą chwilę. Czasy są dla niego ciężkie, jedna z jego córek nie jest jeszcze wyposażona, a dwaj inni chłopcy, studenci uniwersytetu katolickiego, kosztują dużo. Otóż któregoś dnia biorąc moje zamówienie, powiedział mi grzecznie: – Dołączam trzy butelki wina chinowego, to księdzu przysporzy rumieńców. – Ja, głupiec, uwierzyłem, że on mi je ofiarowuje.

Biedaczyna, który w dwunastym roku życia z ubożego domu przechodził do seminarium, ni-

gdy nie będzie znał wartości pieniądza. Myślę nawet, że jest nam trudno być ściśle uczciwymi w interesach. Lepiej nie igrać, bodaj w niewinny sposób, z tym, co większość ludzi świeckich uważa nie za środek, lecz za cel.

Mój kolega z Verchin, który nie zawsze jest dość dyskretny, uważał, że powinien zrobić w obecności pana Pamyre w formie żartu aluzję do tego małego nieporozumienia. Pan Pamyre był tym szczerze zmartwiony. – Niech ksiądz proboszcz, powiedział, przychodzi, ile razy zechce, będzie mi przyjemnie wypić z księdzem. Nie stoimy o jedną butelkę, dzięki Bogu! Lecz interesy są interesami, nie mogę towaru dawać darmo. A pani Pamyre dorzuciła zdaje się: – My, kupcy, mamy też swoje obowiązki zawodowe.

Dziś rano postanowiłem nie przedłużać eksperymentu ponad dwanaście miesięcy, poczynając od dzisiaj. W dniu 25 listopada przyszłego roku wrzucę te kartki w ogień, będę starał się zapomnieć o nich. Ta decyzja powzięta po mszy uspokoiła mnie tylko na chwilę.

To nie jest skrupuł w ścisłym znaczeniu słowa. Nie uważam, bym robił coś złego, notuję tu, dzień po dniu, z bezwzględną szczerością, bardzo skromne i błahe tajemnice życia, nie kryjące w sobie żadnych sekretów. Z tego, co utrwalam na papierze, nie dowie się nic ważnego jedyny przyjaciel, z którym zdarza mi się jeszcze mówić szczerze, a co do reszty, czuję, że nie śmiałybym nigdy pisać o tym, co powierzam Panu Bogu bez wstydu prawie każdego ranka. Nie, to nie jest podobne do skrupułów,

raczej jest to rodzaj obawy irracjonalnej, równej przestrodze instynktu. Gdy usiadłem po raz pierwszy przed tym uczniowskim zeszytem, starałem się skoncentrować uwagę, skupić się wewnątrz jak do rachunku sumienia. Lecz nie swoje sumienie ujrzałem tym wzrokiem wewnętrznym, zwykle tak spokojnym, tak przenikliwym, lekceważącym szczegóły, zmierzającym od razu do istoty rzeczy. Zdawał się on ślizgać po powierzchni innego sumienia, dotąd mi nieznanego, mętnego zwierciadła, gdzie bałem się raptem ujrzeć wynurzającą się twarz: czyją? moją może?... Twarz odnalezioną, zapomnianą...

Należałoby mówić o sobie z nieugiętą surowością. A przy pierwszym wysiłku uchwycenia siebie, skąd przychodzi ta litość, ta czułość, to odprężenie włókien duszy i ta chęć do płaczu?

Odwiedziłem wczoraj proboszcza z Torcy. Dobry to ksiądz, bardzo akuratny, w moich oczach trochę przyziemny, syn bogatych chłopów, znający wartość pieniądza i imponujący mi bardzo swym światowym wyrobieniem. Księża mówią o dziekanacie w Heuchin dla niego... Jego sposób bycia ze mną przynosi mi rozczarowanie, gdyż nie znosi wynurzeń i umie do nich zniechęcić prostackim, dobrodusznym śmiechem, bardziej delikatnym zresztą, niż by się to wydawało. Mój Boże, jakże pragnąłbym mieć jego zdrowie, dzielność, jego równowagę! Lecz sądzę, że ma on w sobie pobłażliwość dla tego, co nazywa chętnie moją czułościowością, bo wie, że nie pysznię się tym, o nie! Już nawet dość dawno nie próbuję mylić prawdziwej litości świętych – mocnej i łagodnej – z tym dziecinnym lękiem, jaki mam przed cudzym cierpieniem.

– Nietęgo mi wyglądasz, kochanku!

Trzeba powiedzieć, że byłem jeszcze wzburzony sceną, jaką mi zrobił w zakrystii kilka godzin temu stary Dumouchel. Bóg mi świadkiem, chciałbym oddać za darmo, wraz z moim czasem i pracą, bawełniane dywany, draperie zjedzone przez mole i świece łojowe, bardzo drogo płacone u dostawcy Jego Ekscelencji, rozpływające się już w chwili ich zapalenia i skwierczące jak frytura na patelni. Lecz taryfy są taryfami: cóż na to poradzę?

– Trzeba go było wyrzucić za drzwi – powiedział mi. A gdy oponowałem, dodał: – Wyrzucić go, powtarzam! Zresztą znam tego Dumouchela: stary ma z czego płacić... Jego nieboszczka żona była dwa razy bogatsza od niego – należy się, żeby ją chował przyzwoicie! Wy, młodzi księża... Poczernieniał, zmierzył mnie od stóp do głów. – Zastanawiam się, co wy macie dziś w żyłach, wy młodzi kapłani! Za moich czasów tworzone ludzi Kościoła – niech ksiądz nie marszczy brwi, mam ochotę klepnąć księdza po głowie – tak, ludzi Kościoła, proszę brać to słowo, jak ksiądz chce, kierowników parafii, nauczycieli, ba, ludzi zdolnych do rządzenia. Ci ludzie trzymali w ryzach naród samym tylko dumnym podniesieniem głowy. Och!

Wiem, co ksiądz mi powie: dobrze jedli, pili tak samo i na karty nie pluli. Zgoda! Gdy się zabrać należyście do swej pracy, wykonuje się ją dobrze i prędko, pozostaje jeszcze wolny czas, i tak lepiej jest dla wszystkich. Teraz seminaria przysyłają nam ministrantów, łatków, którzy wyobrażają sobie, że pracują więcej od innych, bo nie dochodzą w końcu do niczego. Mazgai się to zamiast rozkazywać. Czyta to masę książek, a nigdy jeszcze nie potrafiło

zrozumieć – słyszy ksiądz, zrozumieć! – przypowieści o Oblubieńcu i Oblubienicy. Czymże jest żona, mój chłopcze, prawdziwa kobieta, taka jaką męczyzna pragnie znaleźć, jeśli jest dość mądry, by pójść za radą świętego Pawła? Niech ksiądz nie odpowiada, powie ksiądz głupstwo. No więc jest to baba do harowania, która stanowi część dobytku, i wie, że wszystko będzie musiała zawsze rozpoczynać od początku. Kościół święty może nie wiem jak się martwić, nie zmieni on tego biednego świata w ołtarz z procesji Bożego Ciała. Miałem niegdyś – mówię o mojej dawnej parafii – nadzwyczajną zakrystiankę, zakonnicę z Bruges, sekularyzowaną w roku 1908, poczciwą duszę. W pierwszym tygodniu czyściła a czyściła, dom Boży począł błyszczeć jak rozmównica w klasztorze, nie poznawałem go, daję słowo! Było to w czasie żniw, trzeba powiedzieć, że nawet pies nie przychodził, a diabelna staruszka żądała, bym zdejmował buty – ja, który nie znoszę pantofli! Myślę nawet, że kupiła je za swoje pieniądze. Co ranka, ma się rozumieć, znajdowała nowy pokład kurzu na ławkach, jedną lub dwie plamy pleśni zupełnie świeże na dywanie w prezbiterium, a pajęczyny – ach, mój drogi! Z pajęczyny można było zrobić wyprawę dla panny młodej.

Powiedziałem sobie: czyść, moja córko, zobaczysz w niedzielę. I przyszła niedziela. Och, niedziela jak każda inna, nie żadne uroczyste święto, cóż, klientela zwyczajna. Klęska! Dość, że o północy ona jeszcze pastowała i froterowała przy świecy. A w kilka tygodni później, na Wszystkich Świętych, potężna misja z dwoma kaznodziejami, redemptorystami, tęgimi chłopami. Nieszczęsna spę-

dziła noc na czworakach, między kubłem a ścierką, polewała, tak że mech zaczął się pokazywać na słupach, a zielsko rosnąć w szczelinach między płytami posadzki. Nie było sposobu przemówić do rozumu tej siostrzyczce! Gdybym jej miał usłuchać, powinienem był wszystkich wyrzucić za drzwi, by Bóg mógł mieć sucho pod nogami, widział ksiądz coś podobnego? Mówiłem jej: „Siostra rujnuje mnie na lekarstwa”, bo kasłała ta biedna staruszka. Skończyło się tym, że położyła się do łóżka z ciężkim atakiem reumatyzmu stawowego, serce nie wytrzymało i masz! moja siostrzyczka już u świętego Piotra. W pewnym sensie to męczennica, nie można powiedzieć inaczej. Błędem jej była nie walka z brudem oczywiście, lecz chęć wytępienia go, jak gdyby to było możliwe. Parafia musi być brudna, z konieczności, społeczność chrześcijańska jest jeszcze brudniejsza. Niech ksiądz poczeka na Dzień Sądu, zobaczy ksiądz, co aniołowie będą mieli do wygarniania łopatami z najbardziej świątobliwych klasztorów – jakie nieczystości! A więc, mój drogi, to dowodzi, że Kościół powinien być rządną gospodynią. Rządną i rozumną. Moja siostrzyczka nie była prawdziwą gospodynią: prawdziwa gospodyni dobrze wie, że dom nie jest relikwiarzem. Wszystko to są wymysły poetów.

Na tom czekał. Podczas gdy nabijał fajkę, próbowałem niezręcznie dać mu do zrozumienia, że przykład był może niezbyt dobrze wybrany, że ta zakonnica zmarła z trudu nic nie miała wspólnego z „ministrantami”, z „łatkami, którzy mazgają się zamiast rozkazywać”.

– Jesteś w błędzie – powiedział mi surowo. – To to samo. Tylko że łatki nie mają wytrwałości mojej

siostrzyczki, ot co. Przy pierwszej próbie, pod pretekstem, że doświadczenia służby przeczą ich kurzemu rozumowi, porzucają wszystko. Oni chcieliby jeść tylko konfitury. Lecz ani człowiek, ani tym bardziej świat chrześcijański nie mogą żywić się konfiturami. Bóg nie napisał, że jesteście miodem ziemi, mój chłopcze, lecz solą. Otóż biedny nasz świat podobny jest do starego ojca Hioba na jego gnojowisku, Hioba, pełnego ran i wrzodów. Sól piecze na żywej skórze, lecz także zapobiega gniciu. Macie bzika na punkcie zniszczenia diabła, a drugi wasz bzik, to żeby was kochali – dla was samych, rozumie się. Prawdziwy kapłan nigdy nie jest kochany, zapamiętaj to sobie. I chcesz, żebym ci powiedział? Kościół kpi sobie z tego, czy jesteście kochani. Muszą was wpierw szanować, słuchać. Kościół potrzebuje porządku. Róbcie porządek przez cały dzień. Róbcie porządek myśląc o tym, że nieporządek przemoże go zaraz naza jutrz; gdyż taka jest właśnie kolej rzeczy, niestety! Że noc obraca wniwecz waszą dzienną pracę – bo noc należy do diabła.

– Czy noc – rzekłem (wiedziałem, że go rozgniewam) – nie jest porą nabożeństwa zakonników?

– Tak – odparł zimno – oni zajmują się muzyką. Próbowałem wydać mu się zgorszony.

– Nie mam nic przeciw waszym mnichom, ale każdy ma swoje obowiązki. Poza muzyką zajmują się także kwiaciarstwem.

– Kwiaciarstwem?

– Oczywiście. Kiedy w gospodarstwie naszym umyliśmy naczynia, obraliśmy kartofle, położyliśmy obrus na stół, wtedy wkładało się świeże kwiaty do wazonów, to zwykła rzecz. Zważ, że to

moje małe porównanie zgorszyć może tylko głupców, gdyż rozumie się, jest pewna drobna różnica... Lilia mistyczna nie jest lilią polną. A zresztą, gdy człowiek woli polędwicę od wiązanki barwinku, to znaczy, że on sam jest chamem, pasibrzuchem. Słowem, twoi mnisi są bardzo dobrze przygotowani, by nam dostarczać prawdziwych, pięknych kwiatów. Na nieszczęście w klasztorach, jak i gdzie indziej, zdarza się czasem sabotaż i wtedy zbyt często puszczają oni w obieg kwiaty z papieru.

Patrzył na mnie spod oka, tak abym nie zauważył; w takich momentach wydaje mi się, że widzę w głębi jego spojrzenia wiele tkliwości i – jakby to powiedzieć – coś w rodzaju niepokoju, trwogi. Ja mam swoje doświadczenia, on ma swoje. Lecz ja przemilczam je z trudem i jeżeli nie mówię, to mniej przez heroizm, niestety, niż przez tę wstydlivość, którą, mówiono mi, znają także lekarze, przynajmniej na swój sposób i według natury zajęć im właściwych. Tymczasem on przemilczy swoje, choćby się nie wiem co stało, bardziej nieprzenikniony pod swą szorstką szczerością niż ci kartuzi, woskowo bladzi, których minąłem w korytarzu w Z...

Nagle ujął moją rękę. Dłoń jego, choć obrzmiała od cukrzycy, ściska zdecydowanie, jest twarda, władcza.

– Powiesz mi, że nie rozumiem mistyków. Tak, ty mi to powiesz, nie udawaj głupiego. Otóż, mój chłopcze, był sobie za moich czasów w wyższym seminarium taki profesor prawa kanonicznego, który miał się za poetę. Fabrykował ci on zadziwiające kawałki, ze stopami, jakie były potrzebne, rykami, cezurami i wszystkim, biedaczysko! Byłby

zrymował prawo kanoniczne. Brakowało mu tylko jednej rzeczy, nazwij ją, jak chcesz, natchnieniem, geniuszem – *ingenium* – czy ja wiem? Ja nie jestem geniuszem. Przypuśćmy, że Duch Święty da mi pewnego dnia znak, rzucę wtedy – ma się rozumieć – w kąć moją miotłę i ścierki i zrobię wycieczkę do serafinów, uczyć się tam muzyki, pewny, że z początku będę trochę fałszować. Lecz pozwól mi roześmiać się w nos ludziom, którzy śpiewają w chórze, zanim Pan Bóg podniesie batutę!

Zastanawiał się chwilę jeszcze, a twarz jego, mimo że zwrócona ku oknu, wydała mi się nagle jakby pogrążona w cieniu. Nawet mu rysy stwardniały, jakby oczekiwał ode mnie – lub może od siebie, od swego sumienia – jakiegoś sprzeciwu, zaprzeczenia, nie wiem czego... Rozpogodził się zresztą prawie zaraz.

– Cóż chcesz, mój chłopcze, mam swe poglądy na harfę Dawida. Był to chłopak utalentowany, to pewne, lecz cała jego muzyka nie uchroniła go od grzechu. Wiem dobrze, że poczciwi prawomyślni pisarze, którzy fabrykują „Żywoty świętych” na eksport, wyobrażają sobie, że człowiek w ekstazie jest jakby w schronie, że czuje się tam bezpieczny jak na łonie Abrahama. Bezpieczny!... Och, naturalnie, nic łatwiejszego czasem jak wspinać się do nieba. Bóg was tam wznosi. Idzie tylko o to, by się tam utrzymać, a w razie czego umieć zejść. Zważ, jak święci prawdziwi byli bardzo zafrasowani przy powrocie. Zaskoczeni przy próbach utrzymywania równowagi błagali o zachowanie tajemnicy: „Nie mówcie nikomu o tym, coście widzieli...”. Wstydzili się trochę, rozumiesz? Wstydzili się, że są rozpieszczonymi dziećmi Ojca Niebieskiego, że pi-

li z czary błogości przed wszystkimi. A za co? Za nic. Przez szczególne względy. Te różne łaski!... Pierwszym odruchem duszy jest uciec od nich. Można rozumieć na różne sposoby, uważasz, słowa Pisma: „Strasznie jest wpaść w ręce Boga żywego!” Co ja mówię! W Jego ramiona, w Jego serce, serce Jezusa! Bierzesz mały udział w koncercie, grasz przypuśćmy na cymbałach i nagle proszą cię, byś wstąpił na estradę, dają ci do rąk Stradivariusa i mówią: „Graj, mój chłopcze, słucham cię”. Brr! Chodź zobaczyć moją domową kaplicę, lecz wypierw wytrzymaj nogi, ze względu na dywan.

Nie znam się wiele na meblach, lecz pokój jego wydał mi się wspaniały. Łóżko z masywnego mahoni, szafa trzydrzwiowa suto rzeźbiona, fotele pokryte pluszem, a na kominku ogromna Joanna d'Arc z brązu. Ale nie swoją sypialnię chciał mi pokazać proboszcz z Torcy. Wprowadził mnie do innego pokoju, zupełnie pustego, gdzie stał tylko stół i kłęcznik. Na ścianie jakaś dość brzydka litografia, podobna do tych, jakie się widuje w salach szpitalnych, przedstawiająca Dzieciątka Jezus, bardzo pyzate, bardzo różowe, między osłem a wołem.

– Widzisz ten obrazek? – powiedział do mnie. – To prezent od mojej chrzestnej. Stać mnie na to, żeby sobie kupić coś lepszego, bardziej artystycznego, lecz wolę właśnie ten. Uważam, że jest brzydki, pochodzimy z Flandrii, kraju, gdzie się dużo pije, dużo je i gdzie ludzie są zamożni... Wy nie macie pojęcia, wy biedacy z Boulonnais, w waszych lepiankach o bogactwie Flandrii, o jej czarnoziemie. Nie trzeba żądać od nas pięknych słów, od których dostają zawrotu głowy pobożne damy, lecz mamy wśród siebie niemało mistyków. I to nie

mistyków-gruźlików, nie. Nie boimy się życia: dobra krew, czerwona, krew gęsta, która bije nam w skroniach, nawet gdy jesteśmy zalani jałowcówką lub gdy gniew uderza nam do głowy, gniew flamandzki, mogący byka z nóg zwalić – krew czerwona z odrobiną krwi błękitnej, hiszpańskiej, w sam raz tyle, by ją rozplomienić. Jednym słowem, ty masz swoje zmartwienia, ja miałem swoje – nie są one prawdopodobnie jednakowe. Może ci się zdarzyć, że będziesz pod wozem, ja też szarpałem się tam, i to nie raz, wierz mi. Gdybym ci opowiedział... Lecz to już innym razem, teraz marnie mi jakoś wyglądasz, boję się, by ci się nie zrobiło słabo. Wracając do mojego Dzieciątka Jezus, wyobraż sobie, że proboszcz z Poperinghe, z moich stron, w porozumieniu z wikariuszem generalnym, tęgą głową, wpadł na myśl wysłania mnie do Saint-Sulpice. Saint-Sulpice, według ich pojęcia, to było Saint-Cyr młodego kleru, Saumur albo Szkoła Wojenna. Poza tym mój ojciec dobrodziej (mówiąc nawiasem, myślałem z początku, że to żart, lecz zdaje się, że proboszcz z Torcy nigdy swego ojca inaczej nie nazywa: zwyczaj z dawnych czasów?), mój ojciec dobrodziej był zamożny i chciał się w swej diecezji zasłużyć. Tylko że cóż! Jak zobaczyłem te stare, odrapane koszary, śmierdzące fryturą, brrr!... I tych wszystkich poczciwych chłopaków, takich chudych, zabiedzonych, że nawet widziani z przodu wydawali się zawsze jakby z profilu... No, ale z dwoma czy trzema, nie więcej, dobrymi kolegami trzęśliśmy zdrowo profesorami, robiąc zamęt, cóż psie figle. Pierwsi do pracy i pierwsi do miski, lecz poza tym... istne diabły. Jednej nocy, kiedy wszyscy spali, wdrapaliśmy się na dach i jak ci nie zacznie-

my miauczeć... było czym całą dzielnicę obudzić. Nasz mistrz nowicjatu żegnał się, klęcząc przy łóżku, nieszczęsny myślał, że wszystkie koty z okolicy naznaczyły sobie schadzkę w Świątym Domu, żeby gadać okropności – głupi żart, nie przeczę! W końcu kwartału ci panowie odesłali mnie do domu, lecz z jakimi ocenami! Niegłupi, porządny chłopak, dobry charakter itd. W rezultacie nadawałem się tylko do pasania krów. Mnie, który tylko o tym marzyłem, żeby zostać księdzem! Być księdzem albo umrzeć! Serce mi krwawiło tak, że Bóg dopuścił na mnie pokusę samobójstwa – tak. Lecz ojciec dobrodziej był człek sprawiedliwy. Zawiózł mnie swą kariolką do biskupa ze słówkiem od ciotecznej babki, przełożonej wizytek w Namur. Biskup był to także człowiek sprawiedliwy. Kazał mi zaraz wejść do swego gabinetu. Rzuciłem mu się do kolan, powiedziałem o pokusie, którą miałem, i na następny tydzień wyekspediował mnie do swego wyższego seminarium, budy solidnej, choć niezbyt nowoczesnej. Nic nie szkodzi! Mogę powiedzieć, że widziałem z bliska śmierć i to jaką śmierć! Postanowiłem też od tej chwili mieć się na baczności, udawać głupiego. Poza służbą, jak mówią wojskowi, żadnych powikłań. Moje Dzieciątko Jezus jest zbyt jeszcze młode, by się interesować wiele muzyką czy literaturą. A nawet skrzywiłoby się na ludzi, którzy by się zadowalali strzelaniem oczami zamiast przynieść świeżej słomy wołowi lub oczyścić zgrzeblem osła.

Chwytając za ramiona, wypchnął mnie z pokoju, a przyjacielskie uderzenie jego wielkiej dłoni omal nie powaliło mnie na kolana. Potem wypiliśmy razem po kieliszku jałowcówki. I raptem spojrzął mi

prosto w oczy z wyrazem pewności siebie i rozkazującym. Był to jakby inny człowiek, człowiek, który nie odpowiada przed nikim, wielki pan.

– Mnisi są mnichami – rzekł – ja mnichem nie jestem. Nie jestem przeorem. Mam trzodę, prawdziwą trzodę, nie mogę tańczyć z moją trzodą – zwyczajnym bydłem – przed arką. Do kogo byłbym podobny, powiedz mi? Trzodę ani zbyt dobrą, ani zbyt złą, woły, osły, zwierzęta pociągowe i do orki. Ale mam także kozły. Cóż mam zrobić z mymi kozłami? Nie można ich ani zabić, ani sprzedać. Opatowi wystarczy dać rozkaz bratu furtianowi. W razie omyłki pozbywa się kozłów w oka mgnieniu. Ja tego zrobić nie mogę, my musimy zadowolić się wszystkim, nawet kozłami. Kozioł czy owca, Pan chce, byśmy mu oddali każde zwierzę w dobrym stanie. Nie nabijaj sobie głowy, że przeszkodzisz temu, by kozioł śmierdział kozłem, stracisz czas, możesz popaść w zwątpienie. Starzy księża uważają mnie za optymistę, jakiegoś Rogera Bontemps, młodzi, tacy jak ty, sądzą, że można mną dzieci straszyć, że jestem wobec ludzi zbyt twardy, zbyt żołnierski, zbyt ostry. Jedni i drudzy mają do mnie pretensje, że nie mam swego planiku reformy, tak jak wszyscy, lub że pozostawiam go w głębi mojej kieszeni. Tradycja! – zrzędzą starzy. Ewolucja! – podśpiewują młodzi. Podług mnie, człowiek jest człowiekiem i wcale nie jest wart więcej niż w czasach pogańskich. Nie o to zresztą chodzi, co jest wart, tylko kto nim komenderuje. Ach! Gdyby pozwolono działać ludziom Kościoła! Zwróć uwagę, że ja nie podzielałam słodkich iluzji co do średnio-wiecza: ludzie trzynastego wieku nie uchodzili za świętków, a jeżeli mnisi byli mądrzejsi, za to pili

więcej niż dziś, temu nie można zaprzeczyć. Lecz my byliśmy w trakcie zakładania imperium, mój chłopcze, wobec którego imperium cesarów byłoby tylko łajnem – w trakcie tworzenia pokoju, pokoju rzymskiego, prawdziwego pokoju. Naród chrześcijański, oto, co bylibyśmy stworzyli wszyscy razem. Naród chrześcijański nie jest narodem niewiniątek. Kościół ma mocne nerwy, grzech go nie przeraża, przeciwnie. Patrzy mu prosto w twarz spokojnie, a nawet za przykładem Zbawiciela bierze go na swój rachunek, na swą odpowiedzialność. Gdy dobry robotnik pracuje rzetelnie przez sześć dni w tygodniu, można mu darować hulankę w sobotę wieczór. Uważasz, określe ci naród chrześcijański przez jego przeciwieństwo. Przeciwieństwem narodu chrześcijańskiego jest naród smutny, naród ludzi starych. Powiesz mi, że określenie nie jest zbyt teologiczne. Zgoda. Lecz może ono dać dużo do myślenia panom ziewającym w niedzielę na mszy. Ma się rozumieć, że ziewają! Chyba nie chcesz, żeby w ciągu jakiejś mizernej pół godziny na tydzień Kościół nauczył ich radości! I choćby nawet umieli na pamięć katechizm Soboru Trydenckiego, prawdopodobnie nie byliby z tego powodu weseli.

Skąd pochodzi to, że czasy naszego dzieciństwa wydają się nam tak słodkie, tak promienne? Dziecko też ma zmartwienia, jak wszyscy, a poza tym jest tak bezbronne wobec bólu, wobec choroby! Dzieciństwo i późna starość powinny być dwiema wielkimi próbami dla człowieka. Lecz właśnie z uczucia swej własnej bezsilności wyciąga dziecko pokornie samą podstawę swej radości! I zwraca się z nią do swej matki, rozumiesz? Teraźniejszość, przeszłość, przyszłość, całe jego życie, całe życie

mieści się w spojrzeniu, a spojrzenie to jest uśmiechem. Ech, mój chłopcze, gdyby nam pozwolono działać, Kościół byłby dał ludziom to najwyższe bezpieczeństwo. Nie myśl, że człowiek nie miałby przez to swego udziału w troskach. Nigdy nie będziemy dość silni na to, aby je zwalczyć, głód, pragnienie, biedę, zazdrość, możesz być tego pewny. Lecz człowiek wiedziałby, że jest synem Boga, i to jest cudowne! Żyłby, umierał z tą myślą – nie z myślą nabytą tylko z książek – nie. Gdyż przeniknęłaby ona dzięki nam obyczaje, zwyczaje, rozrywki, przyjemności, wszystko, aż do najskromniejszych potrzeb. Nie przeszkadzałoby to robotnikowi ryc ziemię, uczonemu ślęczeć nad tablicą logarytmów lub nawet inżynierowi budować zabawki dla dorosłych. Tylko że znieśliibyśmy, wyrwalibyśmy z serca Adama uczucie samotności. Ustanawiając całe mnóstwo bóstw poganie nie byli wcale tacy głupi, udało im się przecież dać biednym ludziom złudzenie wulgarnego bodaj porozumienia z niewidzialnym. Lecz kawał ten dziś już grosza niewart. Poza Kościołem naród pozostanie zawsze narodem bękartów, narodem podrzutek. Oczywiście pozostaje im jeszcze nadzieja, że uzna ich szatan. Nic z tego! Mogą długo czekać na swe czarne Boże Narodzenie! Mogą stawiać swe trzewiki przy kominku! Diabeł zmęczył się już składaniem tam zabawek mechanicznych, równie szybko przestarzałych jak wymyślnych, kładzie tam teraz tylko paczuszkę kokainy, heroiny, morfiny, jakiś świński proszek, który tanio kosztuje. Biedacy! Będą go używali pewno aż do grzechu. Nie bawi się ten, kto tego pragnie. Dziecku sprawi uciechę przez dłuższy czas najmniejsza groszowa laleczka, podczas gdy starszy

jegomość ziewa przed zabawką za pięćset franków. Dlaczego? Bo zatracił już ducha dzieciństwa. Otóż Pan Bóg nałożył na Kościół obowiązek podtrzymywania w ludziach tego ducha dzieciństwa, tej naiwności, tej świeżości uczuć. Pogaństwo nie było wrogiem natury, lecz tylko chrześcijaństwo uszlachetnia ją, podnosi, czyni ją na miarę człowieka, na miarę marzenia ludzkiego. Chciałbym tu mieć jednego z tych mądraków, którzy uważają mnie za wstecznika, powiedziałbym mu: to nie moja wina, że noszę strój karawaniarza. Ostatecznie papież ubiera się na biało, a kardynałowie na czerwono. Ja miałbym prawo spacerować ubrany jak królowa Saba, ponieważ przynoszę radość. Dałbym ją wam za darmo, gdybyście jej ode mnie żądali. Kościół rozporządza radością, całym udziałem radości przeznaczonym dla tego smutnego świata. To, co działaliście przeciw niemu, działaliście przeciw radości. Czy ja wam przeszkadzam w obliczaniu punktu równowagi w rozbijaniu atomów? Co by wam jednak przyszło z wytwarzania samego życia, jeżeli zatraciliście jego sens? Nie pozostałoby wam nic innego, jak palnąć sobie przed waszymi retortami w łeb. Fabrykujcie życie, ile chcecie! Wyobrażenie, jakie dajecie o śmierci, zatruwa powoli myśl nieszczęśników, zaciemnia, odbarwia pomału ich ostatnie radości. To będzie trwało jeszcze tak długo, póki wasze kapitały i wasz przemysł pozwolą robić ze świata jarmark z maszynami obracającymi się z zawrotną szybkością, w zgiełku instrumentów dętych i huku ogni sztucznych. Lecz poczekajcie, poczekajcie na pierwszy kwadrans ciszy. Wtedy usłyszają oni Słowo – nie to, które odrzucili, które mówiło spokojnie: „Ja jestem Drogą, Prawdą i Życiem”

– lecz to, które wychodzi z otchłani: „Ja jestem bramą zawartą na zawsze, drogą bez wyjścia, kłamstwem i zgubą”.

Te ostatnie słowa wyrzekł głosem tak mrocznym, że musiałem zblednąć lub raczej zżółknąć – a w ten sposób, niestety, od dłuższego czasu bledną – gdyż nalał mi drugi kieliszek jałowcówki i zaczęliśmy mówić o czymś innym. Jego dobry humor nie wydawał mi się ani fałszywy, ani przesadzony, gdyż myślę, że taka jest jego natura: ma po prostu wesołą duszę. Ale trwało czas jakiś, zanim wesołość ta odbiła się także i w jego spojrzeniu. W chwili odejścia, gdy skłoniłem się, zrobił mi wielkim palcem znak krzyża na czole, a do kieszeni wsunął stufrankowy banknot.

– Założę się, że jesteś bez grosza, początki są zawsze trudne, oddasz mi, gdy będziesz mógł. A teraz zmykaj i nie opowiadaj nigdy głupcom o nas obu.

„Przynieść świeżej słomy dla wołu, oczyścić zgrzeblęciem osła” – słowa te przypomniały mi się dziś rano, w czasie obierania kartofli na zupę. Zastępca mera zjawiał się za moimi plecami, a ja nagle podniosłem się z krzesła, nie mając czasu usunąć obierzyn; czułem się śmieszny. Przyniósł zresztą dobrą nowinę: gmina zgadza się wykopać mi studnię, na czym oszczędzę dwadzieścia sous tygodniowo, które dają małemu ministrantowi za noszenie mi wody ze źródła. Lecz chciałem powiedzieć mu słówko o jego knajpie, teraz bowiem nosi się z zamiarem urządzania każdego czwartku i każdej niedzieli zabawy – zabawę w czwartek nazywa „balem familij-

nym” i wciąga tam nawet dziewczynki z fabryki, które chłopcy uczą pić.

Nie śmiałem. Ma on sposób patrzenia na mnie z uśmiechem, w gruncie rzeczy dobrodusznym, który ośmiela mnie do mówienia tak, jakby to, co miałem mu powiedzieć, nie miało żadnego znaczenia. Byłoby zresztą taktowniej pójść z tym do niego do domu. Mam pretekst do wizyty, bo jego żona jest ciężko chora i od wielu tygodni nie wychodzi z domu. Nie ma opinii osoby złej i nawet niegdyś, mówiono mi, dość gorliwie chodziła do kościoła.

„Przynieść świeżej słomy dla wołu, oczyścić zgrzeblęm osła...” owszem. Lecz proste roboty nie są najłatwiejsze, przeciwnie. Zwierzęta mają mało potrzeb, ciągle te same, natomiast ludzie!... Wiem, że mówi się chętnie o prostocie wieśniaków. Lecz ja, który sam jestem chłopskim synem, uważam ich raczej za strasznie skomplikowanych. W Béthune, za czasów mojego pierwszego wikariatu, młodzi robotnicy z naszego patronatu zaraz po przełamaniu pierwszych lodów zamęczali mnie zwierzeniami, usiłowali wciąż określić siebie, czuło się w nich nadmierną sympatię dla siebie samych. Chłop rzadko kocha samego siebie, a jeżeli okazuje tak okrutną obojętność temu, kto go kocha, to nie dlatego, żeby wątpił o uczuciu, którym go się darzy; prędzej gardziłby nim. Niewątpliwie mało stara się poprawić. Ale również nie widzimy, żeby łudził się co do swych błędów lub występków, które znosi cierpliwie przez całe życie, z góry uważając je za nie do naprawienia i troszcząc się jedynie o to, by trzymać krótko te bestie nieużyteczne i kosztowne, żywić je jak najmniejszym kosztem. A że zdarza się w ciszy tego życia wiejskiego,

zawsze tajemniczego, że apetyt potworów wzrasta, chłop na starość znosi siebie z wielkim trudem, każda sympatia rozjątrza go, gdyż podejrzewa ją o swego rodzaju współdziałanie z wrogiem wewnętrznym, pożerającym powoli jego siły, pracę, dobytek. Cóż powiedzieć takim nieszczęśnikom? Spotyka się też na łożu śmierci starych hulaków, których skąpstwo było tylko cierpkim odwetem, dobrowolną karą, znoszoną lata całe z nieugiętą surowością. I aż do progu agonii niektóre słowa, lękiem śmiertelnym wyrwane, jeszcze świadczą o nienawiści do siebie, dla której być może nie ma przebaczenia.

Sądząc, że decyzję, jaką powziąłem dwa tygodnie temu, niekorzystania z usług przychodniej służącej, źle sobie tłumaczą. Sprawę komplikuje fakt, że mąż owej kobiety, pan Pégriot, dostał we dworze miejsce gajowego. Już nawet złożył wczoraj przysięgę w Saint-Vaast. A ja sądziłem, że dobrze zrobiłem, kupując u niego beczułkę wina! Wydałem w ten sposób owe dwieście franków mojej ciotki Filomeny bez żadnej korzyści, skoro pan Pégriot nie jest już komiwojażerem swej firmy w Bordeaux, której mimo to wysłał zamówienie. Przypuszczam, że jego zastępca wykorzysta należycie ten mój mały gest hojności. Cóż za głupota!

Tak, cóż za głupota! Sądziłem, że ten dziennik pomoże mi skoncentrować myśli, które wymykają mi się w tych rzadkich chwilach, gdy mogę się trochę zastanowić. Według mnie, miał on być rozmową między Bogiem a mną, przedłużeniem modlitwy, sposobem obejścia trudności modlitwy w myślach,

które jeszcze często wydają mi się nie do przezwyciężenia, być może z powodu mych bolesnych kurczów żołądka. I oto odkrywa mi to pisanie ogromną, niezmierną przestrzeń, jaką zajmują w moim biednym życiu te tysiące kłopotów codziennych, od których czasami wydawało mi się, że jestem już wolny. Rozumiem doskonale, że Bóg bierze udział w naszych troskach, choćby błahych, i niczym nie gardzi. Po co jednak utrwalac na papierze to, co przeciwnie, należałoby starać się w miarę możliwości zapomnieć? Najgorsze jest to, że w wynurzeniach tych znajduję tak wielką przyjemność, że już to samo powinno by wystarczyć, bym się miał na baczności. Tymczasem gdy gryzmołę przy lampie te stronic, których nikt nigdy czytać nie będzie, mam uczucie jakby czyjejś niewidzialnej obecności, obecności na pewno nie Boga – raczej przyjaciela stworzonego na moje podobieństwo, choć różnego ode mnie, o innej treści wewnętrznej... Wczoraj wieczorem ta obecność stała się dla mnie nagle tak wyczuwalna, że złapałem sam siebie na zwróceniu głowy w kierunku jakiegoś urojonego słuchacza z nagłą chęcią do płaczu, której się zawstydziłem.

Lepiej zresztą prowadzić eksperyment do końca, chcę powiedzieć jeszcze kilka tygodni. Będę się starał nawet pisać bez wyboru wszystko, co mi przyjdzie do głowy (zdarza mi się jeszcze wahać nad wyborem jakiegoś określenia, poprawiać się), potem wpakuję moje papierzyska w głąb szuflady i odczytam je dopiero później, z wypoczętą głową.